# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

Rok VI. Warszawa, dnia 25 Kwietnia 1914 roku № 17.

Andrzej Strug.

## „Pieniądz".

Wszelkie prawa autorskie i wydawców zastrzeżone.

17

Powieść z obcego życia.

X.

Jenny wstała tego dnia wcześniej. Dusiło ją w nocy parokrotnie. Nie spała, zapalała światło i czytała swój gotycki, iluminowany i niezrozumiały brewiarz. Męczyły ją przelotne, ciężkie sny.

Tym razem nie było to złe światło, prześladujące ją zdala po nocy, ale zły człowiek — który stawał przed nią niegdyś uparcie wpatrzony — teraz wyciągał ku niej ręce z rozpostartemi, jak szpony, palcami i szedł, by ją udusić. I dusiła się rzeczywiście.

Wstawała, chodziła po pokoju, kładła się znowu. Zaledwie przymknęła powieki, zjawiał się znowu i kazał się jej spieszyć, przynaglał do czegoś z natarczywą złością. Pienił się, tupał nogami.

Bała się okropie i spieszyła się, chwytając ubranie, narzucając na siebie szal, kapelusz. Wszystko leciało jej z rąk. Nikogo do pomocy! Sama musiała pakować rzeczy do walizy. Miała gdzieś jechać...

Ranek był słoneczny. Szczyt jaśniał białym blaskiem w pełnym słońcu, ponad mgłami, które snuły się jeszcze w cieniach. Gruby ich kłąb przewalał się przez przełęcz Matterhornu i przechodził mozolnie z włoskiej strony i szarym cieniem opadał ku dołowi.

Bladym, bezsilnym uśmiechem powitała Wielkiego Ducha. Była tak osłabiona, że męczyło ją wzniesienie oczu ku niemu. Dziś jej ciążyła zimna i obojętna na wszystko jego potęga. Dziś pragnęła ciepła, oparcia.

Niezmiernie rzadko spostrzegała swoją samotność, w której żyła od całych lat. I teraz zatęskniła za dobrym, blizkim człowiekiem.

Nie miała nikogo, jednego Roberta—Biedny, biedny... Zawsze go żałowała, zawsze się czuła winną.

I cóż mogła dla niego uczynić?

Nawet tak mądra kobieta, jak mistress Brigs, nie radziła jej tego poświęcenia. — Do małżeństwa trzeba dojrzeć — i radziła zaczekać jeszcze rok.

Ale Jenny wiedziała, że za rok nic się nie odmieni. Przecie on nie będzie chciał pozostać dla niej bratem. A ona nie może być żoną! I jeżeli Robert jej się dotknie — zabije ją odrazu. Czemuż wszystko na świecie takie poziome i ludzkie?

Pomówią ze sobą długo, szczerze, serdecznie. Powie mu wprost. Niech przy niej pozostanie nazawsze, wezmą ślub — będą razem jeździć po świecie, byleby tylko nie to...

Jakże mu wyznać? Nie odważy się nigdy. Wstyd! Nawet z mistress Brigs wstydziłaby się o tem mówić. Ale ona i tak wie. Strasznie mądra! Wszystkiego się domyśla. Skąd wie?

W rzadkich momentach ocknienia, w toku nieomal trzeźwego myślenia Jenny zatracała pamięć swoich niepoczytalnych, zupełnych wynurzeń przed mistress Brigs. Zapominała o nocach, strawionych w gorączkowych zwierzeniach, o swoich szeptach, łkaniach.

Miała w sobie jakby dwie istoty o przeciętej na pół pamięci. Nie wiedząc o sobie, żyły w jednem ciele. Gdzieś we mgle, w zamęcie ciskały jej duszą, odrzucając ją sobie, jak piłkę. Z tego składały się jej losy.

Chaos, wszystkiego niepewność, nad każdą myślą, nad każdym krokiem pracowite wahanie. Wieczna bierność, błędne odruchy. Ktoś w niej hamował każdą chęć, ktoś jej mącił właśne myśli, narzucał swoje.

Gdyby nie zacność mistress Brigs, gdyby nie jej rozumne i wierne, matczyne przywiązanie, nie mogłaby istnieć.

Ona jedna umiała ją uspokoić, często jednem spojrzeniem. Ilekroć mąciły jej się myśli i lada chwila ukazać się miało jakieś nieprawdopodobne widmo... I ten niepojęty strach!... Strach przed sobą, że stanie przed nią, jak w lustrze, druga ona, ale inna, niepojęta, z krzykiem na ustach, z obłąkanemi oczyma. Ktoś ją pchał brutalnie, jak w śmiertelną przepaść, w odmęt cudzych myśli, poczwarnie splątanych, a niepojęcie znajomych, jakby ongiś własnych.

Wszystko rozdzierało się w niej napoły. Myślenie sprawiało ból fizyczny, jakgdyby każda myśl, przedzierając się z trudem, rozrywała jej mózg. Wówczas krzyczała z bólu. Trwało to jednak bardzo krótko.

Natychmiast zjawiała się na pomoc mistress Brigs. Widma znikały pod ciężkiem spojrzeniem jej mądrych oczu. Odrazu myśli jej stawały się pogodne, spokojne, rodziły się obrazy wyraźne, prawdziwe, czasami nawet kojąco miłe.

Jenny wahała się długo, czy wezwać mistress Brigs i zacząć z nią rozmowę o Robercie, czy też nie czynić tego jeszcze. Czuła, że zamierza wielki, niezmiernie ważny krok. Jeszcze nigdy w życiu nie uczyniła ważnego kroku...

I nigdy nie było jej tak dziwnie na duszy. Oddech miała wciąż trudny, nierówny, męczący, ale zdawało jej się, że ktoś zdjął z niej nieznośny ciężar, który dźwigała od początku życia. Dopiero teraz wie, jak był ciężki!

Ktoś rozsunął grube szyby, dzielące ją od świata. One to sprawiały, że ani jeden dźwięk nie dochodził do niej — patrzała na życie, jak na fantastyczną, bezcelową grę cieni. Teraz uderzył w nią gwarną falą potężny oddech życia.

Z zachwytem i ze strachem wsłuchiwała się w te odgłosy. Porywała ją zazdrość ku tym niezaznanym prawdziwym ludzkim uciechom i cierpieniom.

Jeden dzień spędzić, jak wszyscy! Zmieszać się z innymi, słuchać,



BIBLIOTEKA K.U.L.

mówić, patrzeć szeroko rozwartemi oczyma na dziwy świata...

Ludzie... Dotąd nienawidziła ich tylko. Brzydziła się tłumem, gardziła swoją sferę. Nie rozumiała nic z tego, co się dzieje w życiu.

Teraz nagle zapragnęła wiedzieć wszystko. Poznać ten dzień, który światu niesie tyle zmian, tyle rzeczy nowych. Codziennie potop wydarzeń spada na ludzi. Złe i dobre, ważne i małe — wszystko ciekawe i porywające!

Ileż lat, pół życia stracone! Gdzie ona była? Czego zaznała? Czego dokonała? — Nic, nic...

Takie rozmyślania i gwałtowne postanowienia odmiany życia wydarzały się Jenny kilkakrotnie w ciągu ostatnich lat.

Najwyższym wyrazem tych momentów — było niespodziewanie mocne uczucie ku wiernemu, nieszczęśliwemu Robertowi. Łzy stawały jej w oczach, gdy rozważała jego losy.

Wezwie go do siebie natychmiast! Zda się na jego wolę. Uczyni wszystko, co zechce. Nic nie myśleć — niech on za nią myśli!

Ale mistress Brigs czuwała. Po rozmowie z nią moment rozpraszał się, postać Roberta stawała się, jak smętne i miłe zarazem westchnienie. Zjawiała się jakaś pomniejsza zachcianka, ochota do nowej podróży, należało zmienić umeblowanie lub obicia w którymś z eremitage'ów, rozproszonych po świecie. Należało koniecznie zakupić do zbioru stare druki, pozostałe po jakimś świeżo zmarłym miłośniku. To znowu zamarzyło jej się spojrzeć na Leonardowskiego Jana Chrzciciela—więc leciała do Europy na jedną godzinę kontemplacyi w galeryi Luwru i powracała do domu, do swojej pustelni w Kalifornii, śpiesząc się, niewiadomo, do czego.

— Ach, jak to dobrze... Pani zawsze czuje, kiedy mi jej najbardziej potrzeba!

— Jakże ci dzisiaj, Jenny?

— Dusi mnie. Ale czuję się nadzwyczaj dobrze! Chcę z panią pomówić o nieszczęsnym Robercie. Czy on tylko nie wyjechał? Byłoby to prawdziwe nieszczęście...

— Nie, moja droga. Mam nawet dla ciebie na dzisiaj niespodziankę od niego. Tylko nie wzruszaj się zanadto. Spokojnie, Jenny!

— Co? Mów prędzej!

— Już oddawna miał ten zamiar... Odradzałam mu. Jednak, jak widzisz... Słowem, dzisiaj będzie na szczycie! Przed chwilą otrzymałam telegram, nadany wczoraj wieczorem na tamtej stronie...

— Ach, kochany, kochany Robert!...

— I to naprawdę! To wszystko dla mnie. On tak niecierpi gór... Opowiadaj od samego początku, jak to było. Kiedyś z nim o tem mówiła? Siadaj tu zaraz i mów...

Mistress Brigs już wiedziała, że nadszedł czas, kiedy trzeba było zakończyć sprawę. Nie spóźniła się jeszcze, ale i niema chwili do stracenia. Jenny coś zanadto normalnie patrzy i mówi. Ona tego Roberta jakgdyby na seryo kocha. Niesłychane...

Jenny, słuchając opowiadania, jak Robert wybierał się na szczyt, miała łzy w oczach. Mieniła się na twarzy, oddychała ciężko, zrywała się i siadała znowu. Jej badawcze spojrzenie przenosiło się ustawicznie z opowiadającej mistress Brigs na szczyt Matterhornu. Działo się w niej coś dziwnego. Porywało ją nieznane, rozkoszne upojenie. Robert, cichy, biedny chłopiec, przeobrażał się w jej duszy w bohatera. Bolało ją jego poświęcenie. Chciała go mieć przy sobie natychmiast. Chciała mu czemprędzej wszystko oznajmić. Losy swoje mu oddać! Niech nad nią panuje.

Nagle zerwała się i, wciąż przyciskając obu rękoma serce, tłukące się w niej niespokojnie, pobiegła na taras.

Spojrzała i ogarnął ją strach.

Nie rozkoszny, znajomy, upajający, nie ten mistyczny. Była to okropna, bolesna ,ludzka obawa o los Roberta.

Jenny nie wierzyła oczom. Ten widok ukochany i jedyny na całym świecie, dla którego dom tu sobie zbudowała, do którego utęskniona dążyła rokrocznie zza oceanu, wydał się jej teraz potwornym.

Dusiły ją otaczające szczyty waliły się na nią czarne ściany i urwiska, mroziły lodowce. Jakgdyby po raz pierwszy w życiu ujrzała grozę gór. To, co widziała, stawało się coraz podobniejszem do męczącego snu, gdzie dzieje się jakaś nieprawdopodobna oczywistość.

Wodziła przerażonemi oczyma po wysoko biegnącym, poszczerbionym widnokręgu. Każdy szczyt, każdy ząb, najmniejsze załamanie linii było jej znajome. Znała imiona wszystkich wydatniejszych turni, pól śniegowych, lodowców. Wiedziała, kto, kiedy tam zginął, kto pierwszy przeszedł.

Wszystko obce! Zdumiona, podniosła wzrok ku „niemu" i zdrętwiała. Szczyt nie był już sobą. Przeobraził się w ciągu tych paru chwil, od czasu, jak wybiegła z pokoju na taras. Między jednem a drugiem spojrzeniem zaszło w nim coś przerażającego. Dopiero co jaśniał w słońcu, oślepiał oczy zimnym blaskiem. Teraz stał siny, mroczny, jak widmo.

Słońce jakgdyby nagle zasnuło się i przygasło. Cały szczyt do samego podnóża okrył się czarnemi cieniami. Każdy skalny kieł, każdy zrąb kreślił się wyraziście, jak na ponurym, żałobnym rysunku. Po martwo-białem, po biało-sinem tle zbiegały w dół głęboko wyryte żleby i rysy, plącząc się ze sobą i przecinając się nawzajem.

Ze straszliwej wyżyny ziały w ciemnych ścianach pionowo wyłupane kominy. Tam skupiały się plamy najgęstszej ciemności, jakgdyby wyżłobienia sięgały głęboko we rdzeń skały, tworząc bezdenne jaskinie. Wśród chaosu szczerb, załamań, potwornych skrętów i kamiennych sęków, biegały swawolnie misterne gzymsy i półki skalne, obrzeżone pasemkami śniegu.

Poniżej rodził się górny lodowiec. Wisiało nad przepaścią jego główne gniazdo, jak gniazdo orła. Bokami, poza jakąś czarną granią, spływały w dół jego lody. Nieruchome i martwe potoki lodowe ogarniały, jak ramiona, czarny zrąb, stojący im na zawadzie, i uścielały się poniżej, skręcając się i kłębiąc w chaosie, gromadziły się, rosły w siłę, aż nadmiarem potęgi przedzierały się przez przesmyki i cieśniny, rozpychały kolosalne gruzowiska złomów i powodzią lodu zalewały wolną przestrzeń. Tam wiły się lazurowe, sine, czarne pręgi szczelin i rozpęknięć, tam tkwiły wmarznięte bloki skalne i, czerniąc się nieruchomo dla oka, szły, niesione kędyś nieprzepartym prądem.

Po bystrych pochyłościach pól śniegowych wspinały się, próbując tu i owdzie, podnosząc się i opadając, ławice mgieł. Dymiły w dole usypiska, zasnuły mgły koryto głównego lodowca, przesłoniły dla oczu dolinę, Zermatt, ludzi.

Pchał je od nizin powiew z południa. Napędzał je gromadami ciąg wiatru przez wązką, jak korytarz, dolinę. Wciąż naciskane i parte, sięgały coraz to śmielej, coraz wyżej. Zmierzały ku przesmykom i niższym miejscom w głównej grani. Dusząc się w ścisku, radeby zgórować i przelać się na włoską stronę przez przełęcz — jednak czeka je jeszcze długa, ciężka praca.

Ale Jenny już wiedziała, że zapowiadają niepogodę, może burzę. Jak błyskawica, raziło duszę przerażenie.

Burza na Matterhornie!

Porywy wichru, pioruny. Tu w dole ulewa — a tam pomroka zawiei śnieżnej, mróz, zima polarna. Poomacku szukać trzeba drogi po najokropniejszych czeluściach, po pionowych kominach, wisząc w powietrzu na straszliwych pochyłościach śniegów, jak na szybie szklanej... Mróz w oddechu, zgrabiałemi rękoma czepiać się chwytów, rąbać się przez lód... Och!...

Niema sposobu i niema ratunku. Niema na świecie przewodnika, któryby się w zawieje nie zmylił. Niema cudu, który by powstrzymał lawiny śniegów i śmiertelne zwały kamieni, lecących gradem przez długie godziny po burzy i ścierających na swej drodze wszystko, co żywe.

Robert zginie.

Ta prawda uczyniła się w jednej chwili przenikliwie jasną, oczywistą i jakby już spełnioną.

Robert zginął.

I Jenny poznała, że jego jedne-

go kochała na świecie. W zgrozie i przerażeniu dowiedziała się o tem dopiero teraz, kiedy w całej oczywistości ujrzała fakt dokonany.

Poczuła na sobie pęd wichru. Pełne są uszy jego okropnego wycia, nieznośne zimno przenika ją nawskroś. Znikło wszystko w śnieżnej kurzawie. Niesie ją jakaś siła, unosi, obala...

Jeszcze raz podniosła oczy ku szczytowi. Matterhorn już utonął w ciemnych chmurach. Już tam odbywa się straszne dzieło, którego nic odwróci nie.

Ostatnia rzecz wyraźna, którą widziała, jakby własnemi oczyma, był Robert, mknący po straszliwej pochyłości śniegu z zawrotną szybkością, jak martwy przedmiot, ciśnięty w przestrzeń.

Krzyknęła, rozkrzyżowała ramiona i upadła.

---

Mistress Brigs rozesłała telegramy po lekarzy do Wiednia, do Paryża, do Londynu. Już czuwali nad nią dwai miejscowi lekarze, pędziła nadzwyczajnym pociągiem najbliższa jaka-taka znakomitość z Genewy...

Zarządziwszy wszystko, zamknęła się w swoim gabinecie. Zaledwie zgrzytnął klucz w zamku, jej strapiona twarz kochającej matki przeobraziła się. Mistress Brigs stała się sobą. Ze skupieniem na czole, z bezdenną żądzą w oczach zagłębiła się w rozważaniu tego, co jej pozostawało do uczynienia. Czekało ją najtrudniejsze.

W ciągu tygodnia, dwóch najwyżej, Jenny przestanie zawadzać stryjowi. Zgaśnie któregoś dnia, którejś nocy, otoczona najświetniejszymi lekarzami-cudotwórcami, mając na swoje usługi wszystko, co kiedykolwiek wymyślił człowiek w nauce ratowania życia. Ten nadmiar pomocy, ten zjazd najpierwszych znakomitości Europy przyśpieszy koniec.

Przewiezie zabalsamowane zwłoki do grobu rodzinnego w Nowym Orleanie, stryj Shurman, pogrążony w żałobie, zapłacze na świetnym, pompatycznym pogrzebie, rozda parę milionów na cele dobroczynne dla uczczenia pamięci zmarłej, zakupi na giełdzie nowojorskiej przez podstawionego człowieka za trzy miliony własnych akcyi Mississippi Navig. C. Lt. i zażąda zwrotu listów z pewnemi propozycyami i z pewnemi pogróżkami, napisanych ongiś przez nierozważnego pewnego adwokata, który w naiwności ducha sądził, że Shurmanowi wszystko wolno. Oczywiście, wolno, ale tembardziej należy zachowywać nazewnątrz pewną ostrożność.

Akcye żeglugi po Mississippi będą przyjęte, jako zapłata za ciężką pracę siedmiu lat. Akcye stoją bardzo dobrze i, dopóki żyje stary Shurman, będą miały niezłomną wartość gotowego pieniądza a dywidendy jedne z najpierwszych na południu.

Jednak listy pozostaną tam, gdzie są, dopóki...

I mocne, rzeźbione rysy mistress Brigs ściągnęły się w wyrazie niezłomnej, upartej woli. Wypełzła z duszy i znieruchomiała na jej twarzy szalona, niepowstrzymana żądza. Zapaliło się w oczach upojenie dawnego marzenia.

Zwolna, stopniowo, od czasu, gdy ze sztabu wojowniczej armii niewieściej, hałaśliwie a skutecznie broniącej praw kobiety amerykańskiej, powołana została na towarzyszkę przez miss Jenny Shurman, wdzięczną za kampanię, stoczoną w obronie jej ludzkich praw do ojcowskiego majątku — w mistress Brigs, przeniesionej nagle z atmosfery redakcyi, kongresów i meetingów do środowiska o bajecznym przepychu, zaczęła się wytwarzać religijna cześć dla bogactwa.

W tym innym świecie, o którym krąża nieprawdopodobne legendy, dochodzące do karykatury w swojej przesadzie, a jednak jeszcze dalekie od istotnej, niepojętej dla tłumu prawdy, wiele zjawisk codziennego życia co dnia pogrążało ją w zdumieniu. Jak odurzona, obracała się pomiędzy tamtymi ludźmi, których spotykała wielu, albowiem Jenny dopiero w ostatnich paru latach, i to pod jej wpływem, odgrodziła się od reszty świata.

Dopiero zblizka wydali się jej jak bogowie ziemi ci, których pokazywano sobie palcami na ulicy, w salach teatralnych, na wyścigach, o których opowiadano niesłychane anegdoty, o których reporterzy wypisywali w gazetach niestworzone dziwy, czytywane przez wszystkich z chciwością i z niedowierzaniem.

Ale żadne szaleństwa młodego utracyusza Gatesa, za którym stale jeździła chmara reporterów, ani osławiona „Uczta Trzynastu", wymienionych z imienia i z nazwiska bogaczy, książka-protokół, oparta na cyfrach i zeznaniach naocznych świadków a rozchwytana w milionie egzemplarzy w ciągu paru tygodni, ani słynne masowe przekupienie większości kongresu przez pieniądze i wolę jednego człowieka — nie dawało pojęcia o tem, czem są, jak żyją i co mogą owi bajeczni ludzie.

Cyfry ich majątku były martwe i nic nie mówiące, dopóki nie widziało się w życiu codziennem człowieka, obarczonego paru setkami milionów. Miliard...

Mistress Brigs nie przypuszczała nigdy, jak to trudno, nie stykając się osobiście z przedstawicielami tego środowiska, nawet dla umysłu o niepośledniej inteligencyi, zrozumieć prawdziwe znaczenie i wymierzyć ogrom tego, tak często powtarzanego w Ameryce słowa.

Powoli, nieznacznie, z dnia na dzień jej bystry, krytyczny umysł oplątywały niedostrzegalne, pajęcze nici uroku. Przeobrażała się dusza nowoczesnej działaczki społecznej, bojownicy za sprawę kobiecą. Nie porywał ją niezaznany zbytek, ani wyszukane piękno, ani nieokiełznana swawola w zaspokojeniu każdego zachcenia...

Porażona była dusza w samej swojej głębi. Odezwał się głosem głodnej żądzy najsilniejszy jej nerw — niespokojna, nienasycona duma.

DCN.

---

*TADEUSZ NALEPIŃSKI.*

## *Alfabet ponury.*

*Ach, ostatecznie, czyż nie wszystko jedno —*
*Białe czy czarne deptać w życiu kwiaty?*
*Czy błądzić wiecznie, czy utrafiać w sedno?...*
*Dziś — wczoraj — jutro — sen tylko skrzydlaty,*
*Efemerydy nad topielą błotną;*
*Filigranowej laleczki tęsknota;*
*Grajka ślepego tony, co weselą*
*Hałastrę huczną (jak tupie hołota!...) —*
*Ibisa smutek nad Gangesu brzegiem;*
*Jontka rozdarte serce patetycznie;*
*Koronka wspomnień z wypłowiałym ściegiem...*
*(Lirykiem jesteś — więc mów-że lirycznie!...)*
*Łaska to przecie jeszcze nie najmniejsza*
*Módz odejść — Mędrcem być — i milcząc patrzeć...*
*Napróżno nęci mię natura-gejsza —*
*Odchodzę od niej. Ślady każę zatrzeć.*
*Przyjaźń plamiona pieszczoty podstępem;*
*Rozkosz robiona w rynsztoku rozpusty;*
*Smutek, co sroży się syczącym sępem —*
*Taniec truposzów, trywialny i tłusty.*
*Urwać tę nutę!... zanurzyć się w nurty*
*Wirów, co ciszę ukrywają na dnie —*
*X. Ygrek znaleźć, wstępując do furty*
*Złośliwej zmory, życiem zwanej zdradnie.*

Hall Caine.

# Dana od Boga.

Przekład z angielskiego H. J. P.

17

Powieść w 3-ch tomach.

Nazajutrz ujrzałam go na szyi Almy i zdawało mi się, że umrę z upokorzenia i wstydu.

Było to bardzo dziecinne, ale w połączeniu z innemi podobnemi rozczarowaniami, mogło napoić serce wielką goryczą. Najnieforunniejszą jednak była ostatnia próba, na jaką się zdobyłam.

Było to już ku końcowi naszego pobytu. Ponieważ bywaliśmy na różnych proszonych obiadach, postanowiłam wydać także taki obiad w naszym hotelu, by ugościć to całe wesołe i świetne grono, z jakiem się w Kairze poznajomiłam.

Czując, że to będzie niejako rozstrzygająca bitwa w mojej kampanii, ubrałam się z nadzwyczajną starannością w miękką, białą jedwabną suknię, bardzo głęboko wyciętą, takież pantofelki i perły na głowie i na szyi.

Pierwszy to raz pełniłam obowiązki pani domu przy stole i tak manewrowałam, by komendant cytadeli usiadł przy mnie, a mąż mój przy Almie.

Obiad wydał mi się nieznośnie długim, pomimo, że biedny komendant czynił, co mógł, by mnie zabawić rozmową, lecz ja słuchałam go jednem uchem, łowiąc drugiem półgłośne szepty mego męża z Almą. Alma kilkakrotnie podnosiła ku mnie kieliszek z czarującym uśmiechem, wołając: „Maryjko najdroższa! twoje zdrowie!"; wnet potem rzucała mojemu mężowi znaczące spojrzenie, jakgdyby mówiąc: „Patrz no na tę głupiutką trusię, twoją żonę".

Przeszliśmy nareszcie do hallu na czarną kawę. Wszyscy byli podnieceni; rozmawiano coraz głośniej, coraz swobodniej, a ja, Boże odpuść, trzpiotałam się także i dowcipkowałam, pragnąc koniecznie zaćmić Almę i być uważaną za kobietę światową.

Około jedenastej orkiestra w czerwonych frakach zaczęła grać walca: całe to mieszane towarzystwo pań, wojskowych, dyplomatów powstało, jak jeden mąż, do tańca, a komendant podał mnie rękę.

Wstyd mi było przyznać się, że nigdy dotąd nie tańczyłam inaczej, jak z koleżankami w klasztorze, dałam mu się więc wprowadzić w wirujące koło, ale po paru obrotach zaczęłam gubić takt i, myśląc, że wszyscy to widzą (w każdym razie widziała to Alma), myliłam się coraz gorzej, tak, że wreszcie mój partner odprowadził mnie na miejsce, mocno pomieszaną i nadrabiającą miną.

Po walcu nastąpił kotylion, którego w pierwszą parę tańczyła Alma z moim mężem. Jako gospodynię, wybierano mnie wciąż do figur, a ja się wciąż myliłam, co wywoływało uśmieszki na ustach Almy.

Nie na tem jednak był koniec. Nad ranem, kiedy już wyczerpano program tańców, a wszyscy byli ogromnie rozochoceni i żądni jakiejś nowej rozrywki, Alma zaproponowała „toboggowanie" na wielkich hotelowych schodach.

Projekt przyjęto z zapałem i służba natychmiast ułożyła szeroki pomost na pierwszem przęśle, po którem miano się ześlizgiwać.

Na pierwszy ogień poszli wojskowi, a gdy zaczęto wołać, że teraz kolej na damy, Alma pierwsza stanęła u szczytu pomostu i, podwinąwszy zręcznie suknię, ześlizgnęła się lekko na dół. Inne panie poszły za jej przykładem, z takiem samem powodzeniem, gdy Alma, śmiejąca się do rozpuku i powtarzająca: „Ach! to świetne! To przepyszne!", wykrzyknęła głośno moje imię.

W pierwszej chwili odmówiłam, bo wstyd mnie zdejmował patrzeć nawet na taką niestosowną dla kobiet zabawę, lecz gdym spostrzegła, że Alma coś szepcze memu mężowi, a on spogląda na mnie w jakiś dziwny sposób, tak mnie to ubodło, że postanowiłam, biedne, niemądre stworzenie, dotrzymać im placu.

Pobiegłam tedy na górę, usadowiłam się na tobodze i wprawiłam ją w ruch. Lecz prawie w tej samej chwili ta zachwiała się podemną, a ja straciłam równowagę, wypadłam i stoczyłam się, koziołkując, na dół.

Oczywiście, wszyscy zaczęli się śmiać, i zapewne ja, gdybym była w harmonii z otoczeniem i na swojem miejscu, byłabym się śmiała także, i na tem by się skończyło. Lecz ja grałam rolę, tragiczną rolę, i, czując, że zrobiłam fiasco i okryłam się śmiesznością, byłam wprost zdruzgotaną.

Zrazu sądziłam, że mąż mój będzie się gniewał na mnie za tę mimowolną kompromitacyę; tymczasem jego to tylko zabawiło i, gdym, ochłonąwszy nieco, spojrzała na niego, zobaczyłam, że trzęsie się cały od śmiechu.

Tego mi już było zawiele. Odtrąciłam Almę, zbliżającą się do mnie z udanem współczuciem, poszłam do siebie i, ukrywszy twarz w poduszki kuszetki, leżałam tak, czując, że jestem pobitą i dalej już walczyć nie mogę.

W pół godziny potem przyszedł mój mąż i, choć nie podniosłam głowy, uczułam na sobie jego lekceważąco-litosne spojrzenie, odpowiadające głosowi, jakim mi rzekł:

— Grałaś niewłaściwą rolę, moje dziecko. Madonna — tak, ale Venus nigdy. To nie twoje *metier!*

— I na co się to zdało? Na co? Na co? — powtarzałam sobie w duszy, myśląc, że mi serce pęknie.

Rozdział XXXIX.

Ku wielkiej mojej pociesze dowiedziałam się nazajutrz, że jedziemy niezwłocznie do Rzymu.

Alma miała nam towarzyszyć, ale mnie to nic nie obeszło. Poza tą sztuczną, niezdrową atmosferą Kairu i jej urok pryśnie. W Świętem Mieście wszystko pójdzie inaczej. Alma będzie inną, a nadewszystko mój mąż będzie innym. Będę go oprowadzać po kościołach i bazylikach, pokażę mu Watykan i procesye papieskie; zobaczy mnie nareszcie w mojej prawdziwej roli.

Niestety! jakież rozczarowanie mnie czekało!

Przyjechawszy do Rzymu, zamieszkaliśmy w modnym hotelu nowej dzielnicy Ludovisi, i choć to było zaledwie o jakieś tysiąc kroków od miejsca, gdzie spędziłam dziewięć szczęśliwych lat, był to zupełnie odmienny świat. Zamiast uroczystego dźwięku klasztornych i kościelnych dzwonów, rozlegał się tu wciąż ostry stuk elektrycznych tramwajów, trąbki automobilów, turkot powozów i stąpania żołnierzy.

Poznałam wtedy, że były dwa Rzymy: stary i nowy; że ten nowy, do któregośmy przyjechali, w niczem prawie nie różnił się od pozostawionego za nami Kairu.

Był to ten sam kosmopolityczny natłok ludzi różnych narodowości, te same wędrowne gromady bogaczów, rozpinających z sezonu na sezon namioty swoje po osłonecznionych punktach Europy, to samo czcze towarzystwo, to samo bałwochwalstwo mody i zbytku, to samo pragnienie osobistych rozkoszy i przyjemności, to samo pracowite próżniactwo, to samo zepsucie charakterów i dusz.

To odkrycie zgnębiło mnie bardzo; Alma natomiast promieniała. Była tu, jak u siebie; wszyscy ją znali i ona znała wszystkich; ze względu na nią zapraszano nas wszędzie, nietylko w cudzoziemskie środowiska, ale i do domów rzymskiej arystokracyi.

Mężczyźni przepadali za Almą. Miała ona szczególny dar wmówienia w każdego zosobna, że on właśnie jest jej wybrańcem, i tem podbijała wszystkich.

Wprawdzie przebiegłe włoszki poznały wnet, co się święci pomiędzy nią a moim mężem; nie straciła nic jednak przez to w ich oczach. I mój mąż nie stracił również. Poczytano mu to za rzecz prawie naturalną, że, ożeniwszy się (jak to powszechnie wiedziano) dla wybrnięcia z finansowych kłopotów, skierował swe zachwyty, nawet podczas poślubnej podróży, ku tej uroczej i promiennej istocie.

Co się tyczy mnie, mówiono, że jestem zupełnie w innym stylu, a styl ten widocznie nikomu do gustu nie przypadał, bo widocznem było, iż zarówno w kapiących od złota salonach milionowych dorobkiewiczów, jak w starożytnych pałacach da-

wnych, dumnych rodów, gdzie tylko odwieczne brązy i makaty mówiły o tradycyi, jestem zaledwie tolerowaną i to mnie do reszty onieśmielało i pozbawiało wszelkiej swobody i przytomności umysłu.

A w dodatku, wszystko, co tam słyszałam i widziałam, było mi tak obce i wstrętne, a to, co przywykłam była czcić i kochać, w takiej się znajdowało poniewierce, iż częstokroć zapytywałam sama siebie, czy to miasto niewiary i rozpusty jest naprawdę moim świętym, ukochanym Rzymem?

Ale Alma była uszczęśliwioną, zwłaszcza, gdy rozmowa toczyła się o wierności małżeńskiej i gdy się z niej natrząsano. To zdarzało się najczęściej w domu pewnej hrabiny, o której mówiono, że siadała do stołu zwykle pomiędzy mężem a kochankiem.

Była to piękna, wysoka kobieta w średnim wieku, o bujnych, złocistych włosach i ta względnie okazywała mi najwięcej życzliwości, nazywając mnie swojem irlandzkiem *bambino*.

Pewnego wieczora, po obiedzie, zanim panowie wrócili do salonu, posadziła mnie przy sobie na kozetce, zapaliła cygaretkę i zaczęła rozwijać przedemną swoje poglądy na małżeństwo.

— Bo czegóż wy, kobiety, możecie się spodziewać? — mówiła. — Ubiegacie się o mężów dla ich tytułów, — biedacy, niewiele pozatem prócz długów posiadają — i jakiż tego rezultat? Oto, naprzód, chociaż kupiłyście ich, jesteście ich własnością. A tak; mąż jest takim samym posiadaczem żony, jak konia lub psa.

To było tak wyraźnie pite do mnie, że zaczerwieniłam się po same białka, lecz Alma i inne kobiety roześmiały się tylko, a hrabina ciągnęła dalej:

— I cóż potem? W jednym na tysiąc wypadków idą uczciwie każde w swoją stronę. Dla wspólnych korzyści żyją pod wspólnym dachem, jak obcy sobie. Ale co to za lodownia takie ognisko domowe!

Znów tamte zaśmiały się, a ja myślałam, że krew wytryśnie mi z twarzy.

— Ale zazwyczaj dzieje się inaczej. Mąż przeniewierza się żonie, a żona, jeżeli ma odrobinę rozumu, płaci mu pięknem za nadobne, bo to jej się słusznie należy.

Nie mogłam znieść tego dłużej i zawołałam:

— A mnie się to wydaje złem i niemoralnem. Niewierność męża nie usprawiedliwia niewierności żony. Tak nas uczy religia.

Alma parsknęła śmiechem, a hrabina uśmiechnęła się tylko i ciągnęła dalej:

— Ach! tak; raz na sto lat trafia się wielka miłość: Dante i Beatrice, Petrarka i Laura. Kobieta spotyka swój ideał zapóźno. I oto gotowa tragedya. Codzienna męka, codzienne rozpinanie na krzyżu. Chyba — dodała z naciskiem — chyba, że przejdzie do porządku dziennego nad prawem i społeczeństwem, i wyzwoli się sama z krępujących ją węzłów. Ale w katolickim kraju, gdzie niema rozwodów, jakaż kobieta zdobędzie się na to? W naszej sferze — żadna, zwłaszcza gdzie w grę wchodzi tytuł. To też rozumna kobieta unika skandalu, godzi miłość z położeniem... i to jest małżeństwo, moje drogie.

Tamte panie przytaknęły chórem, lecz ja, trzęsąc się z oburzenia, rzekłam:

— W takim razie małżeństwo jest świętokradzkiem oszukaństwem. Ja, gdybym się przekonała, że kocham kogoś więcej, niż męża, poszłabym za tamtym wbrew prawu, społeczeństwu, tytułowi... i wszystkiemu.

— Z pewnością, że tak byś uczyniła, kochanko, — rzekła hrabina, uśmiechając się do mnie, jak do dziecka — ale dlatego, że jesteś takiem słodkiem, uczciwem, szczerem, irlandzkiem *bambino!*

W parę dni po tej rozmowie dostaliśmy zaproszenie na wielkie polowanie. Nie miałam ochoty wziąć w niem udziału, lecz Alma, która zaczęła posługiwać się mną, niby rodzajem parawanika w stosunku do mego męża, zniewoliła mnie, bym pojechała z nimi automobilem za miasto, na punkt zborny, gdzie mieli dosiąść koni.

— Kochanie najmilsze! — mówiła — Jakże moglibyśmy jechać bez ciebie?

Była to niedziela. Siedziałam pomiędzy Almą w amazonce i moim mężem w myśliwskim stroju i mijaliśmy szybko podmiejskie *osterie*, gdzie wesoły włoski lud bawił się ochoczo pod gołem niebem, aż wreszcie nasz automobil zatrzymał się koło klasztoru Trapistów przy Tre Fontane.

Liczne towarzystwo rzymskiej arystokracyi znajdowało się już tam pospołu ze swemi psami i wierzchowcami i wszyscy bardzo serdecznie powitali Almę i mego męża. Co sobie myśleli o mnie, nie wiem; lecz zapewne musiałam im się wydać bardzo dziecinną i wygodną żoną. To też gdy na odgłos trąbki ruszono z miejsca, a mój mąż z Almą podążyli za innemi, nawet nie obejrzawszy się na mnie łzy upokorzenia i wstydu stanęły mi w oczach i zadałam sobie rozpaczliwe pytanie, czy podobna znosić dłużej taką poniewierkę?

Lecz w tejże chwili spotkała mnie miła niespodzianka.

— Dzień dobry, lady Raa, — ozwał się nagle wesoły głos po drugiej stronie samochodu.

Był to nasz irlandzki doktorek parowcowy. Okręt jego zawinął przed paru dniami do Neapolu, a on, jak niegdyś Jurek Conrad, „skoczył" do Rzymu.

— Słyszała pani nowinę? — zapytał.

— Jaką nowinę?

— O wyprawie do Bieguna Południowego. Wracają!

— Tak prędko?

— Tak, przed tygodniem byli już w Nowej Zelandyi.

— A... a... Jerzy Conrad?

— Zdrów, i co lepsze, odznaczył się!

— Byłam tego pewna.

— I ja również! Zawsze mówiłem, że niech mu tylko dadzą sposobność, a pokaże, kim jest. Zdziałać, lub umrzeć, to była jego dewiza.

— Wiem! Wiem!

Młodemu doktorowi błyszczały oczy (a zapewne i mnie także), gdy zaczął mi powtarzać treść długiej depeszy kapitana wyprawy, ogłoszonej w jednym z londyńskich dzienników, w którym była specyalna wzmianka o Jurku i o nadzwyczajnościach, jakich dokonał w powierzonej mu bardzo trudnej i niebezpiecznej eksploracyi.

— Ach! jak to świetnie! Jak to doskonale! jak się cieszę! — wołałam z uniesieniem.

— Prawda? Prawda? I ja również! — przytakiwał mi doktorek z zapałem. Poczem nagle rzekł:

— Ale to szczególne, że on nigdy o pani nie wspomniał... Mówił wprawdzie często o jakiejś Mally, ale...

— To zdrobniałe od Mary — rzekłam.

— Prawda! i ja, irlandczyk, nie domyśliłem się tego! Więc to pani jesteś tą Mally?... No, w takim razie możesz pani być z niego dumną, bo już on dla pani słów nie miał. Pomyśleć, że byłem zawsze o tę Mally zazdrosny! „Mally to dobry numer", mówił, pójdzie za tobą wszędzie, choćby na dno piekieł".

Wilgotna mgła przesłoniła mi oczy, i aby się nie zdradzić, że mi to taką ogromną, tak niepojętą radość sprawiło, zmieniłam przedmiot rozmowy, proponując doktorowi, by wsiadł do automobilu, to zawiozę go do Rzymu.

Przystał ochotnie i przez całą drogę rozmawialiśmy o Jurku, o jego odwadze, zaletach i trudach, jakie przebył, aż ni stąd ni zowąd serce poczęło mi się ściskać niewysłowionym bólem, do czego przyczyniła się też prześladująca mnie raz po raz myśl o moim mężu i Almie, upędzających się po równinach Kampanii.

Wróciliśmy starą Appijską drogą, kędy ptaki ścielą sobie gniazda, wśród rozpadających się grobów, a potem przez Porto San Paolo i koło grobu „młodego angielskiego poety", o którym myślałam zawsze, iż lepiej było dla niego, że umarł na konsumpcyę, niżby miał umierać z rozpaczy i goryczy zawiedzionego serca.

Tak mi dobrze było z tym przyjacielem Jurka, tak mi się wydawał kimś dobrze znanym, że dopiero, gdy mnie żegnał u drzwi swego hotelu, przypomniałem sobie, że nawet nie wiem, jak się nazywa.

Nazywał się O'Sullivan.

Rozdział XL.

Codziennie podczas pobytu w Rzymie miałam chęć odwiedzić Wielebną Matkę i zawsze jakiś nieokreślony wstyd, jakieś poczucie zbrukania, które jakby przylgnęło do mnie, od tego środowiska, w jakiem się obracałam, wstrzymywało mnie w zadośćuczynieniu pragnieniom mego serca.

Tak rzeczy stały aż po dzień kostyumowego balu, tak zwanego Veglione, jaki urządzał rzymski klub artystyczny. Mój mąż i Alma mieli wielką ochotę wziąć udział w tej zabawie, a że wciąż posługiwali się mną, jako przyzwoitką, więc na ich prośby zgodziłam się towarzyszyć im pod warunkiem, że nie będę przebrana i nie będę tańczyć.

— Ależ Maryjko droga — rzekła Alma — uczynisz, jak zechcesz! Któżby cię krępował!

Włożyłam więc białą jedwabną suknię bez żadnych ozdób, której prostota podnosiła kontrastowo wspaniały wschodni kostyum Almy, kapiący od złota i drogich kamieni i czyniący ją podobną do jakiegoś olbrzymiego żuka.

Gdyśmy przyjechali około jedenastej, teatr już był pełen, a gospodarze-artyści przemienili widownię i scenę w jakiś zaczarowany pałac, tęczą różnokolorowych świateł rzęsiście iluminowany.

Zasiadłam sama w parterowej loży, podczas gdy mąż mój i Alma przyłączyli się do reszty towarzystwa na sali, z której usunięto fotele i gdzie tańce zaczęły się niebawem.

Kolacyę podano na scenie i gdy panie, pijące narówni z panami, podchmieliły sobie niezgorzej, wesołość doszła do zenitu: śpiewano kabaretowe piosenki, wydzierano sobie wzajemnie kieliszki i cygaretki, przy wybuchach niepohamowanego śmiechu, kobiety siadały mężczyznom na kolanach, a oni obnosili je dokoła stołów.

Znosiłam widok tych nieprzyzwoitości, dopóki mogłam, prosząc kilkakrotnie mego męża, by mnie zabrał do domu, i już chciałam wracać sama, gdy zjawiła się gromadka ukostyumowanych mężczyzn, niosących rodzaj rostrum, a na niem puste krzesło, na którem miano usadowić królowę Piękności.

Pseudo-sędziowie w papierowych biretach szli przodem, mając dokonać wyboru, a gdy się tak posuwali wśród tłumu, niektóre z kobiet wołały: „Weźcie mnie! Weźcie mnie!"

Byłam pewna, że wybiorą Almę, stojącą właśnie pod moją lożą, i wychyliłam się, aby lepiej widzieć, gdy ujrzałam, że ona wskazuje sędziom w moim kierunku, mówiąc coś o „mniszeczce", a mąż mój kiwa głową i pęka ze śmiechu.

...Kolacyę podano na scenie i gdy panie pijące na równi z panami podchmieliły sobie niezgorzej, wesołość doszła do zenitu...

I w tejże chwili kilku mężczyzn wpadło do mojej loży i nim zdążyłam zmiarkować, co się dzieje, porwano mnie i usadowiono na krześle, na co całe zgromadzenie jęło wrzeszczeć, klaskać i obsypywać mnie kwiatami i confetti.

Byłam jak odurzona. W poczuciu całej mojej bezsilności siedziałam sztywno, jak lalka, na zaimprowizowanym tronie, podczas, gdy obnoszono mnie dokoła widowni, a fale rozgorączkowanych twarzy cisnęły się poniżej, śmiejąc się i krzycząc.

— *Ride Signorina!*

— *Pas si serieuse, Mademoiselle!*

Skończyła się wreszcie ta waryacka procesya i gdy tylko odzyskałam swobodę ruchów, prosiłam znów mego męża (pomimo głębokiego żalu, jaki miałam do niego i do Almy, że mnie w tem upokarzającem położeniu postawili), by mnie odwiózł do domu.

Ale gdy odpowiedział mi: „Jeszcze nie teraz; pojedziemy wszyscy niedługo", wymknęłam się niepostrzeżenie i znalazłszy powóz, wróciłam do hotelu.

Świtało już, gdym weszła do mego pokoju i spuściła ciemno-zielone żaluzye, a w tej samej chwili w klasztorze Kapucynów na Via Veneto ozwały się dzwony, wzywające mnichów na poranne modlitwy.

Leżałam już czas jakiś w łóżku, nie mogąc usnąć, gdy moja pokojówka Price przyszła przeprosić mnie, że nie czekała na mój powrót. Chciałam pozbyć się conajprędzej tej kobiety, bo jej przenikliwe, badawcze spojrzenia drażniły mnie nad wszelki wyraz, ona jednak ociągała się z odejściem, wreszcie rzekła:

— Przepraszam, mylady, chciałabym coś powiedzieć.

Milczałam, a ona ciągnęła dalej:

— Może stracę miejsce za to, lecz taki muszę powiedzieć...

Milczałam wciąż, a Price kończyła:

— Jego lordowska mość i ta pani (tak zawsze nazywała Almę) przyjechali także... może przed półgodziną... a teraz właśnie... widziałam, jak jego lordowska mość wychodził z pokoju tej pani...

— Odejdź, odejdź — zawołałam z uniesieniem, i wreszcie poszła, zamykając hałaśliwie drzwi za sobą.

Pod pozorem wielkiego zmęczenia pozostałam przez cały dzień u siebie i już było ciemno, gdy wyszłam ukradkiem na ulicę, nie zdając sobie sprawy, gdzie mnie nogi niosą, aż znalazłam się na placyku przed klasztorem Sercanek.

Było tam zupełnie cicho. Tylko karabinierzy przechadzali się miarowym krokiem po bruku, a dzwon z klasztoru Dominikanów kołysał się jękliwie. Spostrzegłam światło w papieskiej loggii w Watykanie i usłyszałam zegar Świętego Piotra, bijący dziewiątą.

W kilku klasztornych oknach świeciło się również, skąd wywnioskowałam, że młodsze uczenice, dzieci Dzieciątka Jezus, układają się do snu. Oświetlone było też i wielkie kościelne okno, co mi powiedziało, że starsze dziewczęta odmawiają wieczorne modlitwy.

Przycisnąwszy się do muru, słyszałam głosy tych dziewcząt, a przez zamknięte drzwi kościoła dochodziły mnie stłumione dźwięki wieczornego hymnu:

*„Ave maris stella*
*Dei Mater Alma".*

Nie wiem, czemu dobrowolnie torturowałam się w ten sposób, wywołując wspomnienie tych szczęśli-

wych lat, kiedy i ja śpiewałam tak samo. Ale coś przykuwało mnie do tego miejsca.

Myślałam o Matce Wielebnej, o mojej własnej matce, która prosiła mnie, bym pamiętała o niej, gdy będę śpiewać ten hymn, poczem przypomniałam sobie, gdzie byłam i co się ze mną stało.

*Pod Twoją Obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko.*

Wydało mi się, że jestem jakimś odtrąconym, zapomnianym przez wszystkich wyrzutkiem. Ze ściśniętem gardłem osunęłam się na kolana w ciemnościach i myślałam, że mi serce pęknie.

DCN.

## Wiadomości literackie.

### Z literatury polskiej.

STANISŁAW SIEROSŁAWSKI. *„Miłość Wilhelma I".* Popularna biblioteka historyczna.

Miłość Wilhelma I. króla pruskiego, do Elizy Radziwiłłówny jest w historyi dziewiętnastego wieku arcyciekawym przyczynkiem do wielu zagadnień dworu berlińskiego. W polskim języku praca Sierosławskiego jest pierwszą w tej materyi publikacya. Pisana jędrnie, przystępnie i rzeczowo, napewno spotka się z uznaniem szerokich kół czytelników. Bo Sierosławski znany jest, jako siła literacka pierwszorzędna, inteligencya żywa i niezmiernie konkretna.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką, pocztową, 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie 1 rb kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI Warszawa, ulica Zgoda № 1.

Redaktor STEFAN KRZYWOSZEWSKI.
Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT".
Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Dunajewskiego 1.

Druk Towarzystwa Akc. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.

## Z Kalotechniki.

Nr. 1. *J. Ko.* Środków tych nie znamy. Na zmniejszenie podbródka zalecamy masaż wibracyjny. Jest to najracyonalniejszy sposób pozbycia się tłuszczu. Masaż można stosować w Kalotechnice, lub też samej Autowibratorem D-ra Johansena. Krem Eros używa się na noc.

Nr. 2. *Zmartwionej.* Prosimy o więcej szczegółowe dane z podaniem adresu dla listownej odpowiedzi.

Nr. 3. *Warszawiakowi.* Na porost wąsów polecamy Radiol. Co do drugiego pytania, to najpierw trzeba się poradzić ortopedysty.

Nr. 18. Tak jest, wyczeszki trzeba przysłać do analizy lekarskiej do Kalotechniki. Lekarz po zbadaniu zaleci odpowiednią kuracyę. Analiza kosztuje rb. 3. Przyjęcia lekarskie w Kalotechnice codzień od 4 — 6.

Nr. 21. *Matce.* Bardzo nam miło usłyszeć, że Sz. Pani tak zadowoloną jest z przeprowadzonej kuracyi córeczki Pani w naszym zakładzie i że z wągrów i krost już i śladu na twarzyczce nie zostało. Zasadą naszą jest sumienność i dokładne wykonywanie wszelkich powierzonych nam zabiegów. W dalszym ciągu myć się trzeba Perełkami alkalicznemi i wycierać twarz płynem Vesta.

Na prowincyę zamówienia wysyłamy za zaliczeniem. W Częstochowie Popławski, we Lwowie Pawłowski, w Krakowie Miklaszewski. Listy adresować: Kalotechnika, Marszałkowska, 116, telefon 16-73.

*Zarząd Kalotechniki.*

Klebon
(DLA CHORYCH NA CUKRZYCĘ)
SPRZEDAŻ W SKLEPIE GŁÓWNYM
PIEKARNI NOWEJ A. L.
Nowy-Świat 68 T.

## INFORMACYE.

*Pani Zofji D.* Chcąc mieć zęby białe a jednocześnie konserwować emalję i dziąsła, zechce Szan. Pani spróbować pasty „American", sporządzonej według recepty prof. Miller'y z Bostonu.

Jednym ze stałych towarzyszy słońca są piegi. Szczególnie obficie występują one wczesną wiosną, szpecąc nawet najpiękniejsze twarze. Długi czas piegi uchodziły za defekt naturalny, z którym człowiek nie potrafi jeszcze walczyć. Po wynalezieniu jednak Kremu **Casimi** „Metamorfosa", który pozyskał już szeroki rozgłos, pogląd ludzi nauki na tą sprawę uległ zasadniczej zmianie. I zresztą zupełnie słusznie — gdyż Krem **Casimi** jest najradykalniejszym środkiem, zapobiegającym i usuwającym piegi, plamy, opaleniznę, wągry oraz inne defekty twarzy. Lecznicza wartość kremu tego wzrasta jeszcze wobec faktu, iż nie zawiera on żadnych trujących lub podrażniających naskórek części składowych.

HEMOGEN
Dla dorosł. Dla dzieci.
MAGISTRA KLAWE
*Środek krwiotwórczy zwiększa apetyt, przywr. siły, wzmacnia układ nerwowy.*
*Skł. gł. ro, p. św. Aleksan. Apteka.*

MOR TĘPI RADYKALNIE szczury i myszy wyłączna sprzedaż
ST. STANISZEWSKI
Warszawa, Krak.-Przedm. № 31.
Skład apteczny i perfumeryjny.

T. FERTNER i S-ka Magazyn konfekcyi i bielizny męskiej
Warszawa, Nowy-Świat № 63.
polecają: KAPELUSZE w najnowszych fasonach. Towar wyświatny, KOSZULE białe i kolorowe od rb. 2.50. ::: ceny nizkie. :::
KRAWATY, PARASOLE, LASKI.

Wanda Stokowska
WIERZBOWA № 3, telef. 204-43
poleca WSTĄŻKI, WOALE, WACHLARZE, AKSAMITKI, GAZY, KORONKI, GUZIKI, DŻETY, ŻABOTY, HAFTY, PASMANTERYE, GALONY POŃCZOCHY, RĘKAWICZKI, ŻAKIETY WŁÓCZKOWE, oraz wszelkie przybrania do sukien.

Pierwsza Polska Kooperatywa wyrobów z piór
„ŁĄCZNOŚĆ"
Pióra, kwiaty
::: ostatnie modele paryskie. :::
WARSZAWA, Ś-TO KRZYSKA № 17. TELEFON 28-80.

LOTION DEQUEANT
WŁOSY BRODA BRWI RZESY
Środek na porost włosów, wstrzymuje ich wypadanie, zapobiega siwiźnie, zwraca im pierwotny ich kolor bez użycia farb, w każdym wieku i we wszystkich wypadkach. *Informacye bezpłatne.* Na żądanie wysyła się natychmiastowo franco wyciąg z raportu, przyjętego przez *Akademię Medycyny w Paryżu.* Zwracać się listownie i ustnie do L. Dequéant, pharm., 11, rue Clapeyron, Paris. Wystrzegać się naśladownictw i fałszynkatów. Sprzedaje się we wszystkich lepszych aptekach, Jedyny koncesyat: Windysław Cohn LODZ, 29, Rue Mikołajewska.

„Au Délice"
CHMIELNA 14. Tel. 182-21.
Cukry, Czekolady, Kakao, Biszkopty i wszelkie wyroby z fabryk „Jan Fruziński", „Fuchs", oraz Rosyjskich i Zagranicznych otworzyłam o czem zawiadamiam Sz. Odbiorców
8933 BOGUMIŁA ZATORSKA.
Nowość: zamówienia przyjmują się przez telefon do godziny 10-ej wieczorem, z odsyłaniem do domu. W niedziele i święta sklep otwarty od 2 do 5. Na prowincyę za zaliczeniem.